



Stefanie Zweig

POWRÓT
NA ALEJĘ
ROTHSCHILDÓW

Stefanie Zweig

P O W R Ó T
NA ALEJĘ
ROTHSCHILDÓW

Przełożyła Katarzyna Sosnowska

WYDAWNICTWO MARGINESY

Heimkehr in die Rothschildallee

Copyright © 2010 by LangenMüller at F.A.
Herbig Verlagsbuchhandlung GmbH, München
All rights reserved.
www.herbig.net

Copyright © for the translation by Katarzyna Sosnowska

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Marginesy,
Warszawa 2016

Pamięci mojego ukochanego ojca,
który od dzieciństwa uczył mnie
dostrzegać obie strony medalu.

Rodzina była podporą i isierką nadziei,
której potrzebowali ci, co wypadli
poza bieg życia, by się nie poddać.
Tylko najbliżsi wiedzieli, kim byliśmy
wcześniej. Stanowili most między
przeszłością a teraźniejszością.

N I E O G L Ą D A J S I Ę !

19 października 1941

⊙

Poranna mgła spowijała domy we frankfurckiej dzielnicy Ostend. Odciskała się jesiennie na zwiędłych kwiatach w przydomowych ogródkach oraz na gęstych żywopłotach chroniących domy przed obcymi spojrzzeniami. W oparach poranka nie było jeszcze widać przysadzistych dębów ani potężnych kasztanowców, które rosły przy ulicy, nadając jej spokojny, leniwie wiejski charakter. Nagle, zupełnie nieoczekiwanie, z duszącej szarej mgły wyłoniła się sylwetka Wielkiej Hali Targowej. Chwilami widok tego imponującego budynku wydawał się uspokajać przerażonych i wyczerpanych ludzi, pędzonych niczym bydło

do rzeźni. Padło kilka westchnień ulgi, jakieś „ach”, dwoje dzieci, które nie wiedziały o niczym, klasnęło w dłonie. Łaska pozostawania poza rzeczywistością trwała jednak nie dłużej niż jedno uderzenie serca.

— Dalej, przekłete żydki! — ryknął potworny głos.

Wielka Hala Targowa, duma frankfurtczyków, została zbudowana w latach 1926–1929. W tamtym czasie jej architekturę uważano za unikatową i prekursorską. Budynek znany był w całych Niemczech, stał się symbolem nowych czasów, czasów wolności, ale jesienią 1941 roku nawet najodważniejsi nie śmieli już przywoływać publicznie tamtych chwil nadziei i przełomu.

Dla tych spośród żydowskich mieszkańców miasta, którym nie udało się go w porę opuścić i poszukać ratunku za granicą, podziwiana niegdyś hala stała się stacją końcową dla wszelkiej nadziei. Mimo że nikt oficjalnie nie miał prawa wiedzieć o tak zwanych *Judenaktionen* (1) i deportacjach Żydów, dla wszystkich było jasne, co czekało tych nieszczęśników. Wsadzano ich do piwnic, by kolejny raz sprawdzić, czy nie mają jakichś kosztowności, ciągle od nowa poniżano i szykanowano, odmawiano im jedzenia i wody, bestialsko torturowano i na koniec wysyłano w wagonach bydłowych na wschód. Nikt nie wiedział dokąd. Codziennie pojawiały się nowe pogłoski, wzajemnie sprzeczne, w które ludzie i tak nie wierzyli, ponieważ jeszcze nie nadszedł czas panowania spraw niewiarygodnych. Mimo to każdy czuł, że z Wielkiej Hali Targowej nie ma powrotu. Frankfurt, ukochane miasto rodzinne, zerwało ostatecznie związki ze swoimi Żydami, ostatecznie wyrzuciło ich ze swojej wspólnoty, uznało za wyjętych spod prawa.

Wielka Hala Targowa, ze swą szeroką fasadą i licznymi oknami, przez jedną niezwykłą chwilę dawała zrozpaczoną odwagę potrzebną, by się do końca nie załamać i nie położyć na ulicy, i tam po prostu umrzeć. Widok znajomego budynku niósł otuchę, na którą ci nieszczęśnicy jeszcze sobie pozwalali. Każdemu, kto mimo wszystkich cierpień, jakie go spotkały, nie dopuszczał do siebie obrazów tego, co czeka ich na koniec życia, ta fałszywa otucha podsuwała historie z czasów, w których nie poniżano ich ani nie prześladowano. Były to historie pełne żywych obrazów, kojące dusze i łagodzące strach.

Zmieniło się tempo marszu tej kolumny udręczonych ludzi. Kroki silnych wydłużyły się, nawet słabi stawiali je mocniej i z zaangażowaniem. Dzieci uczone rąk matek podniosły głowy i pokazały twarze. Na końcu drogi odważyły się zadać pytania, na które nie było już odpowiedzi. Jakaś kobieta, chociaż siwa i niedołężna, nagle ruszyła ze swoją wielką walizką do przodu, już nie kaszłała i nie zatrzymywała się. Widać było, że jej waliza ważyła więcej niż dozwolone pięćdziesiąt kilogramów, ale siwa kobieta trzymała ten owinięty cienkim sznurkiem bagaż, jakby to była lekka torba podróżna. Machała nim, jak przedwojenne panie z towarzystwa machały podczas swych beztroskich podróży leciutkimi pułkami na kapelusze. Nagle wybuchła śmiechem. Histeryczny rechot wydobywał się z jej szeroko otwartych ust. Kobieta zaczęła biec, wpadła na starszego mężczyznę z plecakiem, minęła dwie matki z trójką małych dzieci, wyprzedziła utykającą staruszkę w znoszonych butach ortopedycznych, pchającą stary wózek dziecięcy z dobytkiem. Przez chwilę biegła obok czterech brodatych mężczyzn, którzy nie otwierając ust, kierowali swe modlitwy do tego, w którego nadal wierzyli. Wreszcie oszołomiona biegaczka dotarła na sam przód kolumny. Zatrzymała się i obejrzała w stronę zrozpaczonych

(1) Eufemistyczna nazwa akcji masowego mordowania Żydów, stosowana w propagandzie nazistowskiej (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

ludzi. Machnęła lewą ręką, na której dyndała wielka biała letnia torba, sprawiała wrażenie, jakby chciała zachęcić towarzyszy niedoli, by poszli jej śladem. W tym momencie rozległ się ostry głos człowieka w mundurze:

— Dalej, śmierdziuchy. Albo zaraz wam dam popalić, wy icki.

To był głos diabła — nawet dzieci o tym wiedziały. Budził panikę i wywoływał śmiertelne przerażenie u tych niegdyś mile widzianych, pewnych siebie obywateli, którzy nie mogli pojąć, że teraz otwarte były dla nich tylko bramy piekła. Do transportu wyklętych frankfurtczyków dołączono także Żydów z okolic. Sądzieli oni, że w wielkim mieście, królestwie anonimowości, łatwiej unikną prześladowania niż w rodzinnych wioskach, gdzie wszyscy ich znają. Po paleniu synagog 9 listopada 1938 roku (1) Żydzi z okolicznych wsi i miasteczek ściągnęli do Frankfurtu. Ale i ci nieszczęśnicy, których los zależał teraz od zabezpieczających transport władczych członków SA (2), zostali o świcie wyrwani ze swego ostatniego schronienia. Były nim mieszkania, w których od początku wojny przymusowo kwaterowano Żydów. Z miesiąca na miesiąc żyło się tam coraz gorzej, a nadzieja na poprawę umierała codziennie tysiącem rodzajów śmierci. W tych nędznych pomieszczeniach, określanych oficjalnie mianem „domów żydowskich”, 19 października 1941 roku policja i gestapo

-
- (1) Był to pierwszy otwarty i powszechny fizyczny atak na Żydów w nazistowskich Niemczech. Do historii to wydarzenie przeszło pod nazwą nocy kryształowej.
- (2) SA (Sturmabteilung) — pierwsze bojówki Niemieckiej Partii Narodowosocjalistycznej. W latach trzydziestych po serii walk wewnątrzpartyjnych zaczęły tracić siłę i wpływy na rzecz SS. Podczas II wojny światowej oddziały SA rekrutowały mężczyzn, którzy z różnych względów nie trafili do wojska, kierując ich między innymi do działań związanych z deportacjami Żydów.

odebrały Żydom ostatnie pieniądze oraz wszystkie inne cenne rzeczy, jakie jeszcze im pozostały, a także ubrania, sztuce i naczynia, nawet garnki i pościel — a na końcu klucze. Wygnańcy utracili resztki swojego i tak niepewnego bezpieczeństwa. Nie mieli adresu ani tożsamości.

Już od dawna żydowskie dowody osobiste stemplowano w Niemczech literą „J” — jak *Jude*. 19 września 1941 roku weszło w życie rozporządzenie będące preludium do ostatniego aktu tej tragedii. Od sześciu lat Żydzi musieli nosić na ubraniu żółte gwiazdy i byli określanii jako „podludzie”. Materiał z napisem *Jude* musiał być tak przyszyty, by jego nosiciel mógł zostać natychmiast i przez każdego rozpoznany jako Żyd. Z sześcioramiennej gwiazdy Dawida, będącej od wieków symbolem judaizmu, uczyniono w Niemczech piętno. Oznaczała poniżenie, wykluczenie, prześladowanie i śmierć. Sprzed pozbawionej drzwi budki telefonicznej mundurowy rzucił rozkaz: „Marsz!”. Jego głos brzmiał jak zapowiedź piekła. Zniewoleni ludzie wstrzymali oddech i wbili wzrok w ziemię. Czuli, jak umierają ich ciała, a głowy stają się lekkie, ale nikt z udręczonych nie próbował bronić się przed śmiercią. Gdy komuś pozostała jedynie walizka w dłoni, nie patrzy on w niebo i nie oczekuje od Boga ni posłuchania, ni pomocy.

Tylko głos szatana, stukot jego butów, przekleństwa, obsceniczne wyzwiska i groźby, nie do końca zrozumiałe dla tych, którzy byli ich celem, upewniały udręczonych, że śmierć ich jeszcze nie wybawiła. Iskra życia, już tylko tłąca się w popiele, zaczęła gasnąć. Nikt nie wyciągnął pomocnej dłoni, nikt nie powstrzymał diabła, nikt nie wstydił się, że jest człowiekiem. Szatan pocierał czoło, bo bolała go głowa, i myślał o swojej matce. W niedzielę obiecała mu przyrządzić gulasz i knedle.

Zakwiliło jakieś niemowlę. Jego skarga była zbyt cicha, by zwrócić na siebie uwagę na ziemi, i zbyt słaba, by dotrzeć do

niebiańskich obrońców dzieci. Starszy mężczyzna, który tulił dziecko do siebie, przerażony wcisnął je pod swój czarny, gruby płaszcz i zdawało się, że chciał coś powiedzieć. Kobieta idąca po jego prawej stronie wyciągnęła rękę do płaczącego wnuka, lecz jej mąż, którego oczy były już martwe, a serce obrócone w kamień, zdecydowanie odepchnął towarzyszkę życia. Nie słuchał jej, chociaż słyszał, jak krzyczała, i zamknął oczy na jej los, gdyż żywił jeszcze nadzieję, że on sam i dziecko umkną przeznaczeniu.

Kobieta zaczęła lamentować. Na koniec słychać było tylko ciche jęki. Jeszcze pochodziły ze świata, w którym ludzie mogli wykrzyczeć swoje cierpienia. I wtedy, gdy kobieta już prawie umilkła, jej głos znowu stał się ostry i głośny. Jej pełna strapienia, blada twarz zniknęła jak kartka zanurzona w wodzie. Czoło, oczy i nos nie miały ani kształtu, ani koloru, ale usta, wydając z siebie wrzask, otwarły się szeroko — były jak dziura w spienionym morzu, jak smoliste, upiorne piekło.

Staruszka błagała w języku swojego dzieciństwa o litość. Obiema rękami obejmowała cienką szyję, była zdyszana, prawie straciła oddech. Szara chustka na jej głowie się rozwiązała. Przez chwilę materiał opadający na bruk wyglądał jak flaga, podobny do szybującego w przestworzach papierowego smoka, który lekko wraca na ziemię. Chustka spadła w kałużę. Staruszka postawiła walizę i mimo bólu pleców schyliła się, by podnieść cenny kawałek ciepła. Już sięgała ręką mokrego bruku, gdy nagle się pośliznęła. Przez ułamek sekundy chwiała się, jakby jej ciało nie mogło się zdecydować, gdzie upaść. Potem runęła na ziemię niczym ścięte drzewo i nie mogła już wstać.

— Dobrze ci tak! — wrzasnął człowiek w mundurze SA. Jego szeroka twarz była czerwona. Gdy wytrząsał z siebie złość i przenikającą go do szpiku kości nienawiść, długa blizna nad jego prawym okiem robiła się fioletowa. Podkutym butem nadepnął

na leżącą na ziemi rękę. Zrobił szeroki zamach i dwukrotnie kopnął kobietę w plecy. Zawyla jak bity łańcuchem pies i nie mogła się odwrócić. Jej mąż, który nadal trzymał dziecko pod płaszczem, spróbował pomóc jej wstać. Przesunął się nieco w jej kierunku, wyciągnął lewą dłoń, ale potwór w mundurze go odepchnął.

— Jeszcze raz coś takiego zrobisz, pierdolona zdziro! — zakrzeczał. — Nie ze mną takie numery.

Wyciągnął spod kurtki pejcz i trzasnął nim nad staruszką. Wystarczył jeden raz. Kobieta, która ostatkiem siły próbowała się podnieść, ostatecznie upadła. Leżała na ulicy bez ruchu, jej twarz była przyciśnięta do bruku. Nikt do niej nie podszedł, nikt nie wiedział, czy jeszcze żyje.

— Jazda — rzucił diabeł w skórze młodzieńca. Jego głos był spokojny i stanowczy. Brzmiał zadowoleniem i opanowaniem, w uszach równych mu ludzi był to po prostu głos bliźniego.

Dłużyły mu się godziny płynące od chwili, gdy zaczął poganiać bezbronnych i bezsilnych ludzi w stronę piekła. Poprzedniego wieczoru tłumaczył koledze, którego znał jeszcze z początków ruchu, że „każdy niemiecki mężczyzna musi wiedzieć, jak nauczyć Żydów moresu”. Ten ceniony przez przełożonych członek SA nie doznał jednak oczekiwanego zaspokojenia w dręczeniu i maltretowaniu — ani na początku, ani na końcu tego długiego marszu. Uległy dyspozytor nieludzkiego traktowania musiał włożyć o wiele więcej wysiłku w popędzanie wyczerpanych kobiet, przestraszonych dzieci i potykających się starców, tych wszystkich nędzarzy, których widok tak go raził, niż kiedy zaczynał jako poganiacz ludzkiego bydła prowadzonego na rzeź. Nie tylko w bezsenne noce przychodziło mu na myśl, że bicie Żydów na ulicach było zadaniem, które tak samo dobrze mógłby wykonywać pierwszy lepszy wioskowy głupek, a tym bardziej różne miglance z biur. Zakrawało to na kpinę

i bezczelność, że człowiek w mundurze SA zajmował się Żydami, którzy „nie mieli na tyle pomysłu, by się ulotnić na czas”.

— Oni padają — skarżył się po swoim pierwszym transporcie towarzyszowi — jak tylko się na nich dmuchnie. Ale nawet kiedy nie można wypełnić swojego obowiązku wobec ojczyzny tak dobrze jak człowiek ze zdrowymi kończynami, ma się moralne prawo do przysłużenia się sprawie.

Ten człowiek już pierwszego dnia wojny zapomniał o zachowaniu dyscypliny, którą był winien Führerowi i ojczyźnie. W euforii na wieść, że Niemcy wreszcie będą mogły objawić odwagę i siłę nieustraszonych na polu walki, wypił najpierw cztery piwa, a potem pół butelki borówkowej nalewki własnej roboty. O dziesiątej wieczorem, gdy wyśpiewując na całe gardło pieśni wojenne, chciał się wysikać z mostu do Menu, zleciał z samej góry żelaznych schodów. Upojony zwycięstwem żołdak złamał obie nogi i rozwalił sobie twarz. Teraz jego prawa noga była krótsza, a przy każdej zmianie pogody bolał go łeb.

— Długo jeszcze? — wrzasnął żądny walki mundurowy. — Wy śmierdziuchy! — Popchnął jakąś dziewczynkę, może czteroletnią, wałnął pejczem o ziemię i splunął z niesmakiem. Ślina pieniała mu się na ustach. Poczł gorki smak piolunu i zaraz potem naglącą potrzebę ponownego skopania jakiejś kobiety. — Tym razem dorwę jakąś młódkę — wrzasnął przerażająco we mgle.

Nazywał się Georg Maria Griesinger. Gdy rano spoglądał w lustro, nie unikał widoku własnej twarzy. Codziennie czuł dumę, że po swoim uwłaczającym wypadku mógł w ogóle stanąć na wysokości zadania, i to naprawdę nie gorzej niż szczęśliwcy z dwiema zdrowymi nogami.

— Twój syn nie musi iść na front, aby wypełnić swój żołnierski obowiązek — wyjaśniał matce, gdy miał dobrze wypełniony

żołądek i ponownie sięgał po wódkę pędzoną przez wuja z Fischbach. — Walkę o przyszłość Niemiec trudniej jest prowadzić w domu niż na wschodzie. Możesz mi wierzyć.

Matka nie zwykła przeciwstawiać się mężczyznom. Co do zasady przyznawała najmłodszemu synowi rację z pełnym przekonaniem. Tylko w duchu pytała, dlaczego jego bracia nie dostali takiej samej szansy — walki na bezpiecznym posterunku. Herbert, chłopak, któremu nikt nie mógł się postawić, zginął w Polsce. Günther, który miał takie dobre świadectwo szkolne i właśnie został przyjęty do cechu malarzy, poległ we Francji. Co wieczór i oczywiście podczas niedzielnych nabożeństw dziękowała Bogu, że chirurg, który zajmował się złamanymi nogami jej najmłodszego syna, nie sprawdził się tak, jak można było oczekiwać po niemieckim lekarzu w niemieckim szpitalu.

Mimo nierównego kroku i ataków astmy, które już w młodości uczyniły z niego odludka, Georg Griesinger miał siłę i głos, jakich wymagano od człowieka, który zajmował się Żydami.

— To pasożyty i wrogowie ludu — tłumaczył matce. — Wy niucham ich jak pies zające. Żyda wywęszę na kilometr.

— Robiłeś to już jako dziecko — potwierdziła matka. — Zawsze to w tobie podziwiałam.

Przełożeni zgadzali się, że po wypadku, którego dokładne okoliczności nie były szerzej znane, nadal można było liczyć na Georga Marię Griesingera. Jego koledzy również daliby sobie za niego rękę uciąć. Każdy z nich był gotowy przysiąc, że Schorschi, jak go nazywali, nie miał żadnych słabych stron.

— A na pewno nie tak jak niektórzy, co preferują front wewnętrzny i paplają o bohaterstwie jak baron von Münchhausen po piątym kieliszku. Ci to mają nie po kolei w głowie.

A jednak w pewne dni, zwłaszcza gdy zanosilo się na burzę i stare blizny bolały go tak mocno, jakby były świeżymi ra-

nami, Griesinger nie był człowiekiem, po którym można było się spodziewać naprawdę wielkich rzeczy. Nie widział wtedy za dobrze w ciemności, a o zmierzchu wydawało mu się, że drzewa się nad nim uginają. Gęste krzaki wodziły go za nos i często w ciszy słyszał samoloty, które jednak nie pojawiały się na niebie. W jego koszmarach świat stawał się jeszcze bardziej chaotyczny. Griesinger widział w nich wierzby płaczące i czarne łabędzie z łańcuchami na szyi i często powracał do niego sen, w którym skakał z mostu pozbawionego poręczy prosto w czarną wodę.

Ludzie, których Griesinger miał przepędzić z miasta pod Wielką Halę Targową i przy tym — wbito mu to głowy już przy pierwszym udanym transporcie — wywołać jak najmniej poruszenia wśród ludności, byli dla niego niczym krowy lub owce. Rolnik mógł robić ze swoimi zwierzętami, co tylko chciał. Żyły tylko tak długo, jak im na to pozwolił. Tak samo mógł postępować członek SA Griesinger z przekazanymi mu ludźmi. Mógł ich dręczyć, aż się załamują, napawać się ich śmiertelnym przerażeniem, był dla nich słońcem i księżycem, panem i władcą świata. Mężczyzna, którego skopał, nieprzytomna kobieta na ulicy, dziecko patrzące z niedającym się ukryć strachem — wszyscy ci ludzie stanowili dla Griesingera mniejszy problem niż splunięcie. Jego krew nie burzyła się z powodu kilku Żydów, których miał dostarczyć do Wielkiej Hali Targowej. Kiedy jednak wypełnił zadanie, kiedy dopełnił obowiązków, jedzenie wcale nie smakowało mu bardziej niż w tych dniach, kiedy niczego od niego nie wymagano. Kiedy patrzył w niebo, gwiazdy nie były wcale jaśniejsze, zdejmując buty z cholewami, nadal przeklinał schody, z których spadł wtedy na moście. Wieczorami, kiedy leżąc w łóżku, gapił się w sufit, widział pozbawione ciała postaci, martwe już za życia. Długimi ramionami chwytaly takich

mężczyzn jak on, obowiązkowych, niezadających pytań, którzy bez obaw mogli patrzeć w otchłani.

19 października 1941 roku był dniem jak wiele innych — pełnym szarych postaci w szarej mgle. Na kilka sekund paraliżujące oszołomienie przejęło jednak kontrolę nad życiem członka SA Griesingera. O wpół do siódmej rano patrzył jak otumaniony na Wielką Halę Targową. Czuł się, jakby po raz pierwszy widział ten ogromny budynek. W ułamku sekundy jego ciało usztywniło poczucie paniki, a kolejka ludzi, których miał doprowadzić do celu, wydała mu się potworem o dwóch głowach.

— Zatrzymać się — zaskrzeczał szatański pomiot, nim zupełnie zaczął tracić zmysły. Nie mógł złapać oddechu, gdyż uroił sobie, że ktoś się na nim zemści i go udusi. — Stać — krzyknął i złapał się za szyję, jakby się dławił, ale usłyszał swój oddech i zauważył, że nadal rozgrzewa mu on ciało. Odsunął wzrok od obrazów, które nie licowały z wizerunkiem niemieckiego bohatera. Griesinger, mężczyzna o jednej nodze krótszej od drugiej, znowu był tym, kim miał być.

Jakaś kobieta leżała na ziemi. Była tylko kupą czarnych łachmanów. Nie wiedział, czy była to ta staruszka, którą podeptał. Zamachnął się nogą. Jego but tym razem nie trafił, ale wróciła mu męskość i chęć życia. Do starca, który wzywał pomocy niebios, krzyknął:

— Nie ma już twojego Boga. Zapamiętaj to sobie, icku. Poszedł sobie i nie zostawił adresu.

Dopiero gdy wspomniął o Bogu, przypomniał sobie, że jest niedziela. Wyobraził sobie, że w jego świecie żyli również ludzie, którzy w niedzielę wyznawali swoje grzechy i błagali o łaskę. Na samą tę myśl wybuchnął tak głośnym śmiechem, że blizna nad jego uchem pękła i trysnęły iskry. Jakieś dziecko, być może pięcioletnie, spojrzało na niego. Bezbożnik zrobił taki

sam groźny ruch, jaki jego ojciec robił zawsze, nim zdjął z haka różgę i ze wszystkich sił zaczął bić nią synów. Biały jak śmierć chłopiec miał na sobie za dużą czapkę z daszkiem. Przy każdym kroku zsuwała mu się na oczy, ale co chwila poprawiała mu ją matka.

Dzwon na pobliskim kościele uderzył siedem razy. Obwieszczał pokój, zaufanie, nadzieję i wiarę. Powietrze było wilgotne i przesiąknięte jesienią. Wiewiórki spały jeszcze na drzewach, gołębie kuliły się na dachach. Latarnie uliczne zostały wygaszone. Prerażeni ludzie pędzeni ku Wielkiej Hali Targowej wiedzieli, że to ich ostatni dzień w rodzinnym mieście. Wiedzieli również, że czekało ich piekło, ale szli naprzód, jakby mieli jakąś przyszłość, ku której warto było zmierzać. Boga, który ich opuścił, prosili tylko o jedną łaskę: by dzieci nie zorientowały się, że idą na śmierć. Te biegły z opuszczonymi głowami. Nie widziały drzew ani domów, ani krzewów, tylko stopy i buty — błyszczące, jakby wszyscy ci ludzie szli, odświętnie ubrani, do synagogi.

— Dlaczego? — poskarżyła się dziesięcioletnia Fanny. — Dlaczego mam w środku nocy nagle czyścić buty? Nigdy nie musiałam tego robić.

— Bo nie wyrusza się w podróż w brudnych butach — odparła jej babcia Betsy. — Nigdy tak nie było.

Teraz truchtały obie, babka i wnuczka, razem z tymi, którzy już nie myśleli o życiu. Gdy Griesinger i jego kompani dręczyli najsłabszych spośród bezbronnych za to, że nie byli w stanie dotrzymać kroku pozostałym, Betsy Sternberg wtuliła się jak dawniej w swojego męża. Inaczej jednak niż w tamtych pewnych czasach, to ona jemu dawała pocieszenie.

— Przyjdzie — powiedziała cicho. — Czuję to w kościach. Nasza Anna zawsze dotrzymywała słowa.

— Tym razem to nie zależy od niej — odszepnął Johann Isidor. — Nie powinienem był pozwolić, by w ogóle o tym myślała. Nie w jej stanie.

Przed nimi szła Victoria, niegdyś najpiękniejsza i najtrudniejsza z ich czterech córek. Victoria Feuereisen, z domu Sternberg, miała trzydzieści trzy lata i nie była już tak piękna ani tak trudna. Straciła złudzenia i siły, od pierwszego tak zwanego transportu żydowskiego nie myślała już o ratunku. Mimo to na ostatni dzień, jaki miała spędzić w rodzinnym mieście, włożyła czarny płaszcz z kołnierzem z lisa. Na początku lat trzydziestych kupiła go w znanym berlińskim domu mody, który odwiedziła ze swoją siostrą Clarą. Płaszcz nie dawał jej ani ciepła, ani pocieszenia, a na wysokości piersi przyszyto do niego żółtą gwiazdę. Płaszcz ten był świadectwem niewiarygodnych już historii o młodej marzycielce, która chciała odlecieć do nieba, ale spadła na ziemię ze spalonymi skrzydłami. Teraz Victoria, która była zbyt uparta, zbyt naiwna, aby odczytać złowróżbne znaki, błagała Boga o jeszcze jedną łaskę — żeby jej syn nie zorientował się, co się dzieje.

— Nasuń mu czapkę bardziej na oczy — wyszeptwała Betsy — żeby nie widział, co się tutaj dzieje.

Ośmioletni Salo nie puścił ręki matki od momentu, gdy wyruszyli z mieszkania, do którego ich już dawno przesiedlono. Był mały jak na swój wiek, miał dużą niedowagę, kaszlał od miesięcy, a od zeszłego lata cierpiał na napady gorączki. Zawsze był nieśmiały i bojaźliwy. Mówił niewiele i rzadko o coś pytał, ale rozumiał z bieżących wydarzeń więcej, niż jakkolwiek ośmiolatek może unieść. Od kiedy wyruszyli, dwa razy upadł, potykał się coraz częściej. Skarżył się na ból w nogach szeptem, do którego przyzwyczał się w mieszkaniu, dokąd ich przesiedlono.

— Niedługo będziemy na miejscu — powiedziała Victoria. — Wtedy będziesz sobie mógł odpocząć. I to nawet dłużej. —

Rozglądała się za Anną, swoją zaufaną, nieustraszoną, zawsze gotową pomagać przyrodnią siostrą, ale widziała tylko pozbawionych twarzy towarzyszy niedoli oraz rozpromienione oblicza członków SA, którzy z każdym przebyтым kilometrem coraz bardziej paśli się na cierpieniu wypędzonych. Jak długo jeszcze, pytała samą siebie, wytrzyma tę drogę?

Fanny podążała za matką i bratem — bez ręki, która by rozgrzewała jej dłoń, i już bez kontaktu z ludźmi, którzy przekazaliby jej swoje ciepło. Miała dziesięć lat i od dnia, w którym trzy lata temu spalono synagogi, nie była już dzieckiem. Nie trzeba było jej mówić, co miała robić, o czym mogła mówić, wiedziała też, że milczenie oznacza przetrwanie. Dziewczynka nie wspominała już swego ukochanego ojca, który zostawił rodzinę w mrocznych czasach, uciekł do Holandii i do wybuchu wojny bezskutecznie prosił żonę, by przyjechała do niego z dziećmi.

Przed nocą grozy nie ogłoszono we Frankfurcie alarmu przeciwlotniczego. Dla tych, którzy mieli domy, łóżka i garnki, dla ludzi, którzy czytali swoim dzieciom bajki o szczęściu i nie nosili żółtej gwiazdy na ubraniu, była to niedziela jak przed wojną. Kobiety upiekły ciasta z mąki i płatków owsianych, wyjątkowo dodały nawet jajka. Chodniki porządnie zamieciono, klamki wypucowano, żywopłoty przycięto. Tylko zaciemnione okna i napis „Wróg podsłuchuje” na drzwiach budki telefonicznej wskazywały na to, że trwa wojna. W jednym z przydomowych ogródków z wielkiej jabłoni kapąła woda. Wisiały na niej nadal owoce, czerwone i dorodne. Trzykołowy rowerek z niebieskim siodelkiem oraz kolorowa piłka leżały na trawniku, ciągle jeszcze broniącym się przed zimą.

Czerwony na twarzy członek SA Griesinger mocnym głosem ciągle poganiał wyczerpanych ludzi, których uczynił swoimi poddanymi.

— Macie maszerować, a nie się modlić, icki — drwił. — Modlitwy wam nie pomogą. Niemieckie pociągi odjeżdżają na czas.

— Pojedziemy do Polski — wymamrotał starszy mężczyzna.

— Wszyscy tak mówią.

— A ja słyszałam, że do Theresienstadt — odparła biegnąca obok kobieta. — Zawieźli tam moją ciotkę. Napisała do nas.

— Theresienstadt to miejsce dla wybranych — powiedział mężczyzna. — Słyszałem to od pracownika cmentarza.

— Ja jestem z tych wybranych. Mój błogosławionej pamięci mąż był odznaczony Żelaznym Krzyżem pierwszej klasy. Był ciężko ranny.

— Martwi małżonkowie na nic się nie przydają.

— Żadnego gadania — wrzasnął władca z pejcem w ręku. — Nie jesteśmy w żydowskiej szkole. Tutaj mówi tylko jeden, czyli ja. Zrozumiano?

Na parterze domu pod jabłonią podniesiono rolety. Kobieta z włosami zawiniętymi w ogromną siatkę sięgającą czoła otworzyła okno. Wachlowała się z głupkowatym wyrazem twarzy, nagle obejrzała się i na chwilę zniknęła, gdyż za tiulową franką dostrzegła nadchodzącą kolumnę. Zaraz jednak wróciła i wychyliła się przez okno, na ile tylko pozwalało jej obfite ciało. Odkąd zaczęły się deportacje frankfurckich Żydów, stała się regularną obserwatorką tych okropności. W rodzinie uważano ją za dobroduszną i bardzo wrażliwą, chociaż dokładne przypatrywanie się upokarzaniu i dręczeniu ludzi z żółtymi gwiazdami na ubraniu sprawiało jej przyjemność. Mimo to sapała, jakby ją samą też poganiano, kładła rękę na lewej piersi i kręciła głową.

— Gdzie też oni lecą tak wcześnie — dziwiła się.

Szczip u jej stóp, z którym mimo pogarszającego się zaopatrzenia nadal dzieliła życie, zaszczekał dwa razy.

— Cicho — powiedziała kobieta. Nasunęła siatkę na włosach bardziej na czoło i poczłapała w swych filcowych kapciach w ciemność salonu, skąd wróciła z czerwoną jedwabną poduszką. Otrzeпаła ją i położyła na parapecie. Chętnie by się dowiedziała, dokąd trafią Żydzi, gdy już staną pod Wielką Halą Targową. Od swej siostrzenicy Luizy, która tam pracowała, usłyszała, że ładuje się tych ludzi do wagonów i wywozi na zawsze. Ciotka wątpiła jednak, by Luiza, o której wszyscy wokół mówili, że ma rozbuchaną wyobraźnię, mogła cokolwiek wiedzieć. Co z mieszkaniem, które opróżniono? — Na pewno są w lepszej sytuacji — powiedziała do psa. Piszczął na sofie w salonie, bo był przyzwyczajony leżeć obok swej pani na oknie. — Zostań, zostań tam — rozkazała kobieta. — To nie jest widok dla psa. — Tak mocno zaabsorbowała ją kwestia Żydów w Wielkiej Hali Targowej i pracującej tam siostrzenicy, że powiedziała to głośno. Przerażona zatkała sobie usta dłonią.

Anna Dietz, która szukając schronienia, przycisnęła się do płotu niezmordowanej zwiadowczynie, usłyszała te słowa i tak się przestraszyła, że aż dostała mdłości. Próbuując powstrzymać torsje, poczuła, jak miękną jej nogi. Twarz jej zdrętwiała. Nie ważyła się głębiej odetchnąć, ogarnął ją lęk, że pies ją wyczuje, że kobieta w oknie ją dostrzeże. Przede wszystkim bała się, że straci siły i odwagę, lękała się także o swoje nienarodzone dziecko.

Anna, nieślubna córka Johanna Isidora Sternberga, wychowywała się po śmierci matki w ojcowskim domu przy alei Rothschildów 9 i nawet jego żona Betsy szybko ją pokochała, jakby ta była jej własnym dzieckiem. Teraz Anna była w siódmym miesiącu ciąży. Po niespokojnych dniach i nieprzespanej nocy, mimo wysiłku, jaki ją to kosztowało, i śmiertelnego strachu, a także wbrew złożonej mężowi obietnicy, była zdecydowana na niebezpieczną próbę uratowania przynajmniej jednej osoby skazanej na śmierć.

Anna tak dobrze widziała kobietę z ciemną poduszką i białym szpicem, który już umościł się na oknie, jakby oboje znajdowali się w świetle reflektorów na scenie. Widziała tę kobietę już we wtorek i piątek — za pierwszym razem wcześniej rano, potem późnym popołudniem. Anna przypuszczała, że czatująca w oknie kobieta tak samo jak ona chce zobaczyć Żydów zmierzających do Wielkiej Hali Targowej. Ta myśl ją przeraziła, tacy żądni sensacji gapie, po których można się było spodziewać wszystkiego, mogli ją natychmiast zdemaskować. Długie godziny oczekiwania wydały jej się daremne, a nadzieja, której się trzymała — dziecinadą i nielojalnością wobec męża.

Wtedy, w strasznej chwili żalu i najgłębszego zwątpienia, dotarło do niej, że pierwsi nieszczęśnicy są już przy hali. Jej serce zaczęło bić mocniej, poczuła, jak jej ciało nabiera lekkości, i przez chwilę, której nie zapomni do końca życia, była pewna, że się przewróci i straci przytomność, a członkowie SA wrzucą ją jak tobół do jednego z ogrodów. W ułamku sekundy przeżyła własną śmierć. Postanowiła, że nie będzie krzyczeć, że zacznie spokojnie oddychać i ułatwi śmierć własnemu dziecku, ścisnęła głowę, by się uspokoić, ale strach w niej był tak ogromny, że niebo stało się ciemne i zaczęły się na nim kotłować chmury.

Pełna zwątpienia usłyszała wrzaski i przekleństwa Georga Marii Griesingera. Jego matka nazywała go Schorschi i na śniadanie smarowała mu kromkę chleba masłem. Teraz Griesinger groził śmiercią wszystkim, za których Anna gotowa była wstąpić do piekieł. I właśnie ten wrzask odwołał ją ze świata, w którym prowadzono dzieci na śmierć i dawano orderzy za morderstwa. Okrutny głos powstrzymał w niej chęć ucieczki i zapadnięcia się pod ziemię. Poczuła, że ma ręce, które mogą chwytać, oraz odwagę tych, którzy nie pytają, czy pomaganie ma sens. Stała tam bez ruchu, zapomniała, że jest w ciąży i że ryzykuje życie

swojego dziecka, by ratować inne — dziecko, którego przyjście na świat widziała, z którym się śmiała i które już odczyły się płakać.

Poprzedniej niedzieli Anna dowiedziała się od swojego męża Hansa, że znowu będą deportować frankfurckich Żydów.

— Nic więcej Karl nie wie — poinformował ją Hans. — Żadnej dokładnej daty i w ogóle nic o tym, kogo mają na liście. Być może będą to teraz starcy i dzieci. Nie chciałem ci tego mówić, ale nie mogłem utrzymać tego w tajemnicy. Gdy tylko pomyśle o dzieciach Vicky i o tym, z jaką godnością stary Sternberg zniósł wszystkie upokorzenia, i że jego żona nie poskarżyła się dotąd ani słowem, mam chęć od razu się powiesić. Po co mi ta cała przekłeta przyzwoitość? No i co to komu daje, że ja nie mogę pogodzić się z tym, co się dzieje?

Anna chciała od razu iść na Bockenheimerstrasse 73, gdzie mieszkali Sternbergowie z Victorią i jej dziećmi od czasu, gdy musieli opuścić własny dom przy alei Rothschildów. Od ponad dwóch lat głodowali i marzli w prymitywnym mieszkaniu, straciwszy nadzieję na jego opuszczenie. Hans i Anna dyskutowali pół nocy o tym, czy Anna powinna ryzykować, by odwiedzić ich po raz ostatni.

— Gestapo nie spuszcza żydowskich domów z oka — ostrzegął Hans. W końcu udało mu się przekonać ciężarną żonę, by zrezygnowała z pożegnania z rodziną.

— Jeśli Sternbergowie rzeczywiście są na liście deportacyjnej, powinnaś oszczędzić tego ojcu, Anno.

— A jeśli ich już nie zobaczę i nie pożegnám się z nim, Betsy i biedną Vicky? Wstydziałabym się tego do końca życia.

— Tyle że tak jest lepiej. Johann Isidor to zrozumie, uwierz mi. On zawsze myślał tylko o rodzinie. A my musimy teraz myśleć o naszej małej Sophie. Nie możemy już iść za swoimi przeko-

nianiami. Nie możemy sobie więcej pozwolić na przyzwoitość i odwagę.

Nie było jeszcze pewne, jakiej płci będzie pierwsze dziecko Dietzów. Hans i Anna, nie wierząc w siłę modlitw od czasów płonących synagog i tej nienawiści oraz schamienia wobec Żydów, jakie się wtedy rozpętały, od miesięcy błagali Boga o córkę — której nikt nie wetknie broni do ręki i nie rozkaże w obcych krajach palić domów czy obejść ani wyrywać płaczących dzieci z ramion matek.

Hans Dietz, który w 1934 roku musiał odpokutować swoje przekonania polityczne pobyt w obozie koncentracyjnym Dachau, wiedział, o co chodzi. W Polsce, zajętej przez Niemcy w takim pośpiechu, jakiego nie widziano od czasu bitwy pod Tannenbergiem podczas pierwszej wojny światowej, starszy szeregowy Dietz stracił lewą nogę. Do lata 1940 roku leżał w krakowskim lazarecie, skąd pisał do Anny długie, tęskne listy, nie wierząc, że ją jeszcze kiedyś zobaczy. W końcu jednak przeniesiono go do Frankfurtu i wkrótce potem zwolniono ze służby wojskowej.

— Ktoś, kto ma o mnie dobre mniemanie, miał ostatnie słowo — zwykł mówić Annie, gdy utykając, spacerował z nią po frankfurckim Ostparku. Tam mogli się oboje łudzić, że nadejdzie pokój i wszyscy ich ukochani przetrwają. Siadywali na ławkach, na których nie było już napisów „Nie dla Żydów”, gdyż już prawie nie było Żydów, a ci, którzy się jeszcze ostali w mieście, nie mogli w ogóle wchodzić do parków publicznych. Młoda para karmiła wiewiórki i ptaki i marzyła o mieszkaniach, gdzie nie ma stróżów zagląających w garnki i czatujących na każdą krytyczną wypowiedź mieszkańców.

Hans wrócił do swojej Anny z żarliwym sercem i z taką samą wdzięcznością do frankfurckiej drukarni. Z powodu wątpliwego

„aryjskiego certyfikatu” (1) Anny odważyli się pobrać dopiero w zamieszanym wojennym. W „uznaniu za zasługi wnioskodawcy wobec ojczyzny” otrzymali dwa i pół pokoju na Thüringer Strasse, po której Anna niegdyś przechadzała się ze swoją pierwszą miłością. Gdy okazało się, że jest w ciąży, obiecali sobie solennie, że nie będą świadomie wplątywać się w kłopoty ani się okłamywać.

Oboje nie dotrzymali przyrzeczenia, dla żadnego z nich nie było to jednak wstydem czy nielojalnością, raczej koniecznością. Od początku dopuścili możliwość kłamstwa z dobroci serca. Nieugięty Hans Dietz nadal utrzymywał kontakty z towarzyszami sprzed wojny, a ci bez wyjątku działali w ruchu oporu. W ich piwnicach między stosami kartofli i węgla leżały antynazistowskie pisma, które kolportowano nocami. Najodważniejsi z nich ukrywali także ludzi skazanych na deportację i śmierć w obozach koncentracyjnych.

Anna obiecała mężowi, że nie będzie odwiedzać Sternbergów tak regularnie, jak to robiła, gdy on był na froncie. Mimo to chodziła tam tak często, jak tylko mogła. Zanosila im żywność, ubrania i leki. Dla Betsy, która w wieku sześćdziesięciu dziewięciu lat powoli wychodziła z zapalenia płuc, zdobyła środki wzmacniające — wymieniła je w aptece na papier do pisania, który Hans przyniósł z drukarni.

Gdy dowiedziała się o zaplanowanej deportacji Żydów, wtajemniczyła ojca w swój niezwykle odważny plan. Johann Isidor się wściekł. Zszokowany odmówił i przez resztę wieczoru się do niej nie odezwał, chociaż przy pożegnaniu łzy popłynęły mu po twarzy i wyjątkowo długo tulił swoją ukochaną córkę.

W tym decydującym dniu Anna dostrzegła, że Betsy bardzo starała się dotrzymać kroku mężowi i ciągle miała na oku Fanny. Od razu zrozumiała, że Betsy wie. Starsza kobieta kilkakrotnie się obejrzała. Powiedziała coś do męża. Annie wydawało się, że Johann Isidor przytaknął. Podeszła do Fanny i chwyciła ją za ramię. Chuda, blada i oniemiała z przerażenia dziewczynka coraz bardziej oddalała się od matki i brata. Babka wyszeptwała jej coś do ucha, nie pochylając się. Tak dyskretnie, że towarzyszący konwojowi ludzie SA niczego nie zauważyli, popchnęła Fanny ku zewnętrznej części kolumny. Wtedy Anna po raz pierwszy wyraźnie ją zobaczyła. Dziesięcioletnia Fanny nie miała już sił. Co chwila się potykała, odstawiała torbę, chwiała się, łapała się powietrza, znowu się prostowała i szła dalej.

Jakaś kobieta, która doszła już do hali, krzyknęła przerażająco: „Ogień!” i „Pomocy!”. Z jękiem upadła na ziemię. Nawet leżąc, ścisnęła walizkę z naklejką „Hotel Europa, Bad Gastein”. Ci, którzy nie mogli upaść, zgubili krok. Dwóch uzbrojonych członków SA krzykiem poganiało ich naprzód. Griesinger wrzeszczał tak mocno, aż jego głos przeszedł w falset. Zbliżył się do mężczyzny, którego sparaliżował okrzyk „Ogień!”. Mniej więcej szesnastoletni chłopiec pochylał się nad leżącą na ziemi kobietą. Widać było, że jest epileptyczką i miała atak.

— Zachciało ci się! — wrzasnął Griesinger.

W oknach widać było gapiów, którzy roili sobie, że są ludźmi. By dobrze wszystko widzieć, jakaś kobieta wybiegła z domu pod jabłonią. Wskazywała palcem bezbronnym ludzi i pytała w przyjemnym heskim dialekcie, dokąd się wybierają. Właścicielka białego szpica pluła ze swojego salonu w stronę nieszczęśników i krzyczała: „Fuj!”. Jej pies szczekał i machał ogonem.

Anna zbliżyła się już do kolumny. Nadal czuła, że jej wielki brzuch jest lekki niczym u młodej dziewczyny i że spłynął na nią

(1) Certyfikat aryjski — dokument potwierdzający aryjskość przodków okaziciela.

anioł. Prowadziła ją własna wola. Stawiała długie, mocne kroki. Zimną jak lód, lecz już nie drżącą rękę wyciągnęła ku oznaczonej żółtą gwiazdą Fanny Feureisen, dla której podstawiono już wagon jadący na wschód. Anna Dietz, zawsze posłuszna kobieta, której nikt nie wytłumaczył, co znaczy być człowiekiem i mieć obowiązki wobec bliźnich, chwyciła Fanny.

— Nie oglądaj się — poprosiła.

W bocznej uliczce, której mieszkańcy spali spokojnie przy niedzieli, Anna zdarła płaszcz z naszytą gwiazdą z pleców zszokowanej dziewczynki. Mógłby je wpędzić w kłopoty, wcisnęła go więc do torby na zakupy. Owinęła Fanny brązową kurtką, którą przyniosła z domu. Bez słowa szły ramię w ramię z powrotem, tam skąd przyszły.

◦

N I E B E Z P I E C Z E Ń S T W O I W Y B A W I E N I E

Marzec-kwiecień 1944

— Gorzej już być nie może, na miły Bóg — powiedziała pani Schmand, mimo piątego roku wojny nadal dobrze odżywiona. Drutem wskazała sufit piwnicy, policzyła współmieszkańców, którzy siedzieli między stosami kartofli, węgla, słojami, na połamanych stołkach, krzesłach kuchennych i zniszczonych materacach. Po chwili powtórzyła: — Rzeczywiście, nie może być gorzej. — Niemniej jednak na jej podołku leżały dwa kłębki ciemnoniebieskiej wełny, będące jednoznaczny wskazówką, że liczyła się z dłuższym nalotem. Aby mieć do dyspozycji ładną wełnę przedwojennej jakości, musiała spruć sweter najmłodszego

Co daje siłę ludziom, którzy stracili wszystko?
Czy można powrócić do życia sprzed czasów
wielkiego strachu?

W październiku 1941 roku część rodziny Sternbergów
zdołała wyemigrować z Niemiec — do Holandii, Palestyny
i Afryki Południowej. Tych, którzy pozostali, przepędzono
ku Wielkiej Hali Targowej. Annie, nieślubnej córce
Johanna Isidora, udaje się w zamieszaniu wyciągnąć z
kolumny córeczkę Victorii, Fanny, i wraz z nią uciec.

Po zakończeniu wojny Sternbergowie miotają się między
nadzieją a wątpliwością. Czy ktoś z ich bliskich przeżył?
Dlaczego właśnie im się udało? Czy będzie można jeszcze
śmiać się po tym, co się wydarzyło? O okrucieństwie
tamtych czasów starają się nie pamiętać, jednak nic
nie jest w stanie zasklepić bolesnych ran.

Stefanie Zweig opowiada historię frankfurckiej rodziny
obejmującą lata 1941–1948. Z niezwykle ludzkim
podejściem i dzięki plastycznym obrazom przedstawia,
co spotkało poszczególnych jej członków, którzy umknęli
śmierci i rozpieczęśli się po świecie. Przypomina też,
że w czasach II wojny światowej nie brakowało odważnych
ludzi, którzy działali w zgodzie z własnym sumieniem.
Powieść — we właściwych proporcjach — łączy szczerłość
i humor. Jest również hołdem dla niemieckich
kobiet, które stały wśród ruin, na zgliszczach swojego
dotychczasowego życia, a mimo to się nie poddały.

Trzeci tom sagi rodzinnej Stefanie Zweig.

Cena: 34,90 zł

www.marginesy.com.pl

